

LUDVIG HOLBERG

(1684—1754)

## Z «KONWISARZA POLITYKA»

(Herman, z profesji konwisarz, ulega modzie politykomanji, co nastęrcza złośliwym sposobność do mistyfikacji: kilku mieszczan przybywa do niego w roli rajców i oznajmia mu, że został wybrany na burmistrza. Herman niebawem się przekonywa, że stanowisko burmistrza ma swoje przykre strony; stają np. przed nim dwaj adwokaci.)

Pierwszy adwokat: Nasi klienci są sąsiadami, a ich posiadłości rozgranicza płynąca woda. Otóż przed trzema laty tak się zdarzyło, że owa woda zabrała spory szmat gruntu mojemu klientowi i przyłączyła go do posiadłości przeciwnika. Maż on go zatrzymać? Gdzież więc zasada: *Nemo alterius damno debet locupletari*? A tu właśnie jego klient chce się z bogacić kosztem mojego klienta, co *aperte* sprzeciwia się *aequitati naturalis*; czyż nie tak, panie burmistrzu?

Herman: Tak, jest to niesprawiedliwość, której nikt nie może żądać. Masz słuszność, monsieur.

Drugi adwokat: Jednakże Justynjan powiada wyraźnie — *libro secundo Institutionum, titulo primo, de alluvione*...

Herman: A cóż tam do kata może mnie obchodzić, co mówi Justynjan albo Aleksander Wielki? Żyli oni może na parę tysięcy lat przed założeniem Hamburga, jakże więc mogli wyrokować o rzeczach, które za ich czasów nie istniały?

Drugi adwokat: Miałbym przypuszczać, że Wasza Miłość odrzuca prawa, które całe Niemcy uznają?

Herman: Nie, ja tak nie myślałem, pan mnie źle zrozumiał; chciałem tylko powiedzieć... (*kasze*). Ale bądź pan laskaw ciągnąć dalej swoją sprawę.

Drugi adwokat: Justynjan pisze wyraźnie: *Quod per alluvionem agro tuo flumen adjecit, jure gentium tibi adquiritur*.

Herman: Panie adwokacie, mówisz nieznośnie prędko; powiedz mi to wyraźniej. (*Drugi adwokat powtarza to samo powoli*.)

Herman: Ech! mój panie, masz w łacinie jakąś piekielnie złą wymowę; zwróć się do swego języka ojczystego, to ci będzie łatwiej. Mówię to nie dlatego, żebym miał zostawać w nieporozumieniu z łaciną; rozmawiam w niej niekiedy całemi godzinami ze swym służącym...

Drugi adwokat: Justynjan, wielmożny panie burmistrzu, powiada temi słowy: Co rzeka oderwała od czyjzego pola i przyłączyła do twojego, to należy do ciebie.

Herman: Tak, w tem ma rację. Był to dzielny maż i zbyt wiele mam dla niego poważania, iżbym chciał jego zdanie obalać.

Pierwszy adwokat: Ale, panie burmistrzu, mój przeciwnik czyta prawo, jak djabeł biblję; zapomina on, że zaraz potem następuje: *per alluvionem autem videtur id adjici, quod ita paulatim adjicitur, ut intelligi non possit, quantum quoque temporis momento adjicitur*.

Herman: Messieurs, wybaczcie, ale śpieszę do ratusza, bo zaraz bije wpół do piątej...



Pierwszy adwokat: Ach! panie burmistrzu, proszę nam powiedzieć swoje zdanie przynajmniej w jednym słowie.

Herman: Messieurs, obadwaj macie słuszość, każdy na swój sposób.

Drugi adwokat: Ależ jak to być może, abyśmy obadwaj mieli słuszość? Sądziłbym, że jeżeli ja mam słuszość, to mój przeciwnik jej nie ma. Orzeczenie Justynjana przemawia stanowczo za mną.

Herman: Proszę wybaczyć, muszę biec do ratusza.

Pierwszy adwokat (*zatrzymując Hermana*): Dowiodłem przecież, że orzeczenie Justynjana jest za mną.

Herman: Tak jest, w istocie, Justynjan przemawia za panem i za panem także; czemuż więc, u djabła, nie porozumiecie się w tej sprawie? Znam Justynjana lepiej od was; jeżeli nosi on płaszcz na obu ramionach, to znaczy tyle, jakgdyby chciał powiedzieć: Wynoście się, hultaje, na złamanie karku i załagodźcie sprawę.

Drugi adwokat: Panie burmistrzu, ażeby myśl prawodawcy dokładnie zrozumieć, trzeba jeden artykuł porównać z drugim; czyż w następnym paragrafie nie jest powiedziane: *Quod si vis fluminis de tuo praedio*.

Herman: Ech! dajcież mi pokój, panowie kauzyperdy! Słyszycie przecież, że muszę do ratusza.

Pierwszy adwokat: Chwileczkę, panie burmistrzu! Proszę tylko wysłuchać, co mówi Hugo Grotius.

Herman: Niech was obu szatan porwie razem z waszym Hugonem Grotiusem. Cóż mnie obchodzi Hugo Grotius? To był Arminjanin<sup>1</sup>, a cóż nam do praw, które tworzy ktoś, djabeł wie gdzie, w Armenji?

*Tłum. Edward Grabowski.*

## JOHANNES EWALD

(1743—1781)

### KRÓL CHRISTIAN

Gdzie maszł się pnie, król Christian stał

Wśród walki znoju

I siekł swą szpadą w wrogów wał,

Na czaszki Gotów razy siał;

Więc wrogów rój, choć dzielnie stał,

Padł w walki znoju!

«Uciekać! — krzykną. — Kto z was chce

Z Christianem duńskim zmierzyć się

W tym boju?»

O, morze me! Dziedzinę twą

W błyskawic biegu

Tordenskjold pruł. Ze strachu mrał

Twe wrogi! Ty nasiąkasz krwią!

By piorun, mąci głębię twą

W błyskawic biegu!

Jak chmura, tak on z Danji gnał.

Gdzie mąż, coby się ostać śmiał

W szeregu!

Niels Juel szturm przenika wlot:

«Uderzyć porał»

Wieje chorągiew — on, jak młot,

Spadł — i uderzeń słyhać grzmot,

Aż wróg zdeptany krzyczy wlot:

«Uciekać porał

Uciekać, choć do piekieł bram!

Walczyć, gdy Juel przeciw nam,

Nie porał»

Dla sławy Danji perłą mórz

Północne morze.

Do snu wiecznego głowę złoś

Tego, co z trudów drwił i burz,

Hardy, jak ty, o perło morz,

Północne morze.

I mnie ściel grób za trud, za bój,

Za śpiew, za grę, za życia znój,

O, morzel!

*Tłum. Wł. Trąpczyński.*

<sup>1</sup> Arminjanie — sekta kalwińska, prześladowana w Holandji; Herman miesza jej nazwę z nazwą kraju Armenji.



## ADAM OEHLENSCHLÄGER

(1779—1850)

## Z «OLAFI SAMOZWAŃCA»

## Ragnilda

Tak, stać się musi! Dobędą spełnienia  
 Mnogich niespanych nocy mych marzenia,  
 Gdy przed mej chaty rozwartemi wroty  
 Gwiazd tajemnicze śledziłam obroty.  
 Gdy zórz północnych blaski, niby rój  
 Widm, dziki taniec zawodziły swój,  
 To jako miotły rozczochrane, krwiste,  
 To jako mieczów głównie płomieniste.

Wśród wycia wichrów głos duchów brzmiał mi:  
 Do dzieła! pomścij znieważonej czci  
 Dawnych rycerzy!... Nie daj tym zuchwałym,  
 We srebrnych blachach, kartom zniewieściałym  
 Zatrzeć i pogrześć w niepamięci mocnych  
 Postaci dawnych mocarzy północnych.  
 Zdeptaj próżności południowy kwiat!  
 Na skałach naszych nie dla niego świat!...

Precz z rycerzami na toczonych koniach!...  
 W łodzi, na burzę rozhukanych toniach  
 Jaśnieć mężowi!... Precz włócznie, rapiery!  
 Dość bohaterskiej — trzaskać lby — siekiery!...  
 Precz jedwab, szkarłat, drogie złotogłowy!...  
 Dość zgrzebna szata i pancierz stalowy!...

Groźny, jak niegdyś z stromeego urwiska  
 Skał, dotąd straszny młotem swym Thor błyska...  
 Tak, w gnuśnym grobie nie zaginąć nam!  
 Z gruzów nowego zmartwychwstanie chram  
 Czcii dawnej!... Dłonią niewiasty zuchwałą  
 Co legło — wznieść znów niewieście zostało.

*Tłum. Roman Zmorski.*

## MELANCHOLJA

Znam ja dziewicę na północnej ziemi: Czoło jej blade, słodycz płynie z twarzy; Wieczór rozmawiać lubi z umarłemi, Buja nad borem, na wybrzeżu marzy.	I wszędzie biegłem za blaskiem jej czoła, Czy w głębi borów, czy na brzegu fali; Dotąd co chwila do siebie mnie woła — W zamęcie świata lub od niego wdali.
Nawet, gdy wiosna nadziei się śmieje, Marząco idzie z głową pochyloną; Lecz tak pięknością i wdziękiem jaśnieje, Że za nią idziesz, jak za narzeczoną.	Strzeż się jej, jeśli chcesz mieć spokój duszy, Bo tą dziewicą jest melancholija: Jej wzrok marzący kogóż nie poruszy? Uścisk miłosny czyż zwalczy moc czyja?

*Tłum. Stanisław Budziński.**Poprawił Alfred Tom.*

## HANS CHRISTIAN ANDERSEN

(1805—1875)

## KSIĘŻNICZKA NA GROCHU

Był sobie pewnego razu książę, który chciał się ożenić z księżniczką; chodziło tylko o to, żeby to była prawdziwa księżniczka. Objechał więc świat cały, aby taką właśnie znaleźć, ale zawsze coś temu stało na przeszkodzie. Księżniczek wprowadzie



było dość, ale czy to były prawdziwe księżniczki, tego w żaden sposób nie mógł stwierdzić. Zawsze znalazło się coś, co nie było w porządku. W końcu powrócił do domu bardzo zmartwiony, bo tak gorąco pragnął mieć prawdziwą księżniczkę.

Pewnego wieczoru zerwała się straszna burza; błyskało i grzmiało, deszcz lał jak z cebra, słowem — czas był okropny! Wtem ktoś zapukał do bramy miasta, i stary król sam poszedł otworzyć.

Była to księżniczka — stała właśnie przed bramą. Ale, o Boże! jakżeż ona wyglądała na tym deszczu i niepogodzie. Woda spływała z jej włosów i z sukni; ściekała aż do nosków jej pantofli i wyciekała znów koło pięt. A przecież oświadczyła ona, że jest prawdziwą księżniczką.

«No, no, to się wkrótce okaże!» pomyślała stara królowa. Nie rzekła jednak nic, tylko poszła do sypialni, zdjęła wszystką pościel i położyła ziarnko grochu na spodzie łóżka, następnie wzięła dwadzieścia materaców i ułożyła je na grochu, a potem na materacach jeszcze dwadzieścia pierzyn edredonowych.

Na takim więc posłaniu miała księżniczka leżeć całą noc. Nazajutrz rano zapytano ją, jak jej się spało.

«O, strasznie źle!» rzekła księżniczka. «Przez całą prawie noc nie mogłam zmruczyć oka, i Bóg raczy wiedzieć, co tam było w moim łóżku! Leżałam na czemś tak twardem, że całe ciało mam poznaczone sińcami! To coś okropnego!»

Tak oto przekonano się, że to była prawdziwa księżniczka, skoro przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia pierzyn edredonowych jednak groch poczuła. Tak wrażliwa mogła być tylko prawdziwa księżniczka.

To też pojął ją książę za żonę, bo teraz wiedział, że posiada prawdziwą księżniczkę; a ziarnko grochu posłano na wystawę, gdzie jeszcze do dziś dnia można je oglądać, jeśli go nikt stamtąd nie wykradł.

Widzisz, to jest prawdziwa historia.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### Z «KSIĄŻKI Z OBRAZKAMI BEZ OBRAZKÓW»

To rzeczywiście dziwne! Wtedy, gdy czuję najgoręcej i najgłębiej, mam wrażenie, że ręce i język są jakby spętane i ani nie mogę barwą oddać, ani wypowiedzieć tego, co we mnie żyje. A przecież jestem malarzem.

Jestem zresztą biednym drapichrostem, mieszkam w jednej z najciaśniejszych uliczek, ale światła mam wbród, bo mieszkam podniebnie z widokiem na wszystkie dachy. W pierwszych dniach, gdym przybył do miasta, uczulem się nad wyraz skępowany i osamotniony; zamiast lasów i zielonych pagórków, za cały widnokrąg miałem jedynie stare kominy. Nie miałem przytem żadnego przyjaciela, nie witała mnie żadna znajoma twarz.

Jednego dnia stałem bardzo przygnębiony przy oknie, otworzyłem je i wychyliłem się z niego. Nie umiem powiedzieć, jaka radość ogarnęła mnie nagle! Ujrzałem znaną mi twarz, okrągłą serdeczną twarz mego najlepszego przyjaciela z odległych rodzinnych stron: był to księżyc, stary kochany księżyc, niezmiennie ten sam, taki samiuleńki, jak ten, który zaglądał do mnie poprzez gałęzie wierzb nad moczarami. Posłałem mu rękoma całusy, właśnie świecił całą pełnią do mego poddasza i przyrzekł mi zaglądnać do mnie na chwilę co wieczór, gdy wyjdzie na przechadzkę. Tego swego przyrzeczenia dotychczas sumiennie dotrzymywał, szkoda jeno, że może tylko przez tak krótki czas u mnie pozostawać. A ile razy mnie odwiedza, opowiada mi to i owo, co widział przeszłej nocy albo i tego samego wieczora. «Namaluj teraz to, co ci opowiadam — mówił mi, gdy mnie pierwszy raz odwiedził. — Z pewnością będzie z tego wcale piękna książka z obrazkami». Według tej rady postępowałem przez dużo wieczorów i mógłbym dać na swój sposób nową rzecz z tysiąca i jednej nocy w obrazach, ale byłoby tego za wiele; te, które daję, nie są wyborem, następują po sobie, tak jak je słyszałem. Jakiś wielki, genialny malarz, poeta albo muzyk mógłby z tego więcej zrobić, gdyby chciał; to, co ja daję, są to tylko lekko narzucone kontury, a w międzyaktach moje własne myśli, bo nie każdego wieczora odwiedzał mnie księżyc, przeciwnie, niejednokrotnie zasłaniał go jeden obłok, a czasami i dwa.



## Pierwszy wieczór

«Ubiegłej nocy» — są to własne słowa księżycy — «szybowałem poprzez czyste powietrze Indyj; przeglądałem się w Gangesie, promienie moje próbowały się przedrzeć poprzez gęste sploty starych platanów, które tworzą sklepienia nakształt złotych pancerzy. Nagle wyszło z gęstwiny dziewczę hinduskie, lekkie jak gazela, piękne jak Ewa; było w niej coś powiewnego, a przecież równocześnie gibkiego i silnego cór Hindostanu. Mogłem widzieć jej myśli poprzez delikatną skórę; cierniste liany rozdierały jej sandały, ale szybko kroczyła naprzód. Drapieżny zwierz, co wracał od rzeki, gdzie ugasił swe pragnienie, odskoczył z lękiem, bo dziewczę trzymało w ręku palący się kaganek; widziałem młodą krew, przeświecającą poprzez delikatne palce, któremi osłaniała płomień. Zbliżyła się do rzeki, opuściła kaganek na powierzchnię strumienia, tak iż popłynął z prądem. Płomień migotał i sianiał się, jakby miał lada chwila zgasnąć, ale przecież się palił, a czarne błyszczące oczy dziewczęcia śledziły go poprzez długie jedwabiste rzęsy z głęboką miłością. Wiedziała przecież, że jeżeli płomień tak długo palić się będzie, jak długo go swym wzrokiem dosięgnie, ukochany jej żyje jeszcze, jeżeli zaś prędzej zgaśnie, to umarł. I kaganek płonął i drżał, i jej serce płonęło i drżało. Padła na kolana i poczęła się modlić, a obok w trawie leżał oślizgły wąż, ale ona myślała tylko o Bramie i o swym ukochanym. «Żyje!» krzyknęła radośnie, a szczyty gór odpowiedziały jej echem: «Żyje!»

## Dwudziesty ósmy wieczór

«Była cisza morska» — mówił księżyc — «woda przejrzysta, jak najczystsze powietrze, które przenikałem; mogłem głęboko pod powierzchnią morza widzieć dziwne rośliny, które, jak olbrzymie drzewa w lesie, wyciągały ku mnie długie łodygi, a ponad ich wierzchołkami przemykały ryby. Wysoko w powietrzu ciągnął sznur dzikich łabędzi; jeden z nich, znużonym lotem, opadał coraz niżej i niżej, ale oczy jego szły za nadpowietrzną karawaną, która się oddalała coraz więcej i więcej. Osamotniony, z rozwartymi skrzydłami, opadł w cichem powietrzu, jak bańka mydlana, dotknął powierzchni wody, włożył głowę między skrzydła i leżał cichy, jak biały lotos na spokojnem jeziorze. Wtem podniósł się wiatr i zmarszczył błyszczącą powierzchnię, która, jak promieniejący eter, potoczyła się w szerokich wielkich falach. Łabędź podniósł głowę, a błyszcząca woda nakształt niebieskich plomyków obryzgiwała jego piersi i grzbiet. Obłoki zaróżowiły się od zorzy porannej, a łabędź wzmocniony wzniósł się i poleciał ku wschodzącemu słońcu i sinym wybrzeżom, ku którym ciągnęła nadpowietrzna karawana, ale leciał samotny, z tęsknotą w sercu, samotny ponad błękitnem, falującym morzem».

*Thum. Jadwiga Przybyszewska.*

## DZIECIĘ UMIERAJĄCE

O, matko! jam zmęczony, a dzień już przy skonie,  
Pozwól mi teraz zasnąć na twem drogiem łonie.  
Lecz ukryj te łzy rzewne i te niepokoje,  
Bo smulne twe spojrzenie, palące łzy twoje.  
Bo smulne twe spojrzenie, palące łzy twoje.  
Jakże zimno! o, patrzaj, jak czarno wokoło!  
A gdy zasypiam, anioł staje przed mym wzrokiem,  
Co nade mną świełliste wznosi swoje czoło,  
I widzę, jak promienie złote mkną potokiem.

Matko! słyszysz tych śpiewów harmonijne tony?  
Ach, takim pieniem w niebo będę uniesiony.  
On już przy nas; czy słyszysz? Do siebie mię woła  
I uśmiecha się do mnie. Patrz na ten blask czoła!  
Patrz! wokoło z cudownych barw tęcza się plecie,  
Anioł z złotemi skrzydły rzuca na mnie kwiaty;  
Mamo! czy takie skrzydła będę miał w tym świecie?  
Lub umrzeć, by jak anioł ten stać się skrzydlaty?



Co tak mnie obejmujesz smutnie w swe ramiona?  
 Powiedz, czemu jęk cichy rwie się z twego łona?  
 I czemu ta łza rzewna po twem licu płynie?  
 Nie opuszczę cię nigdy, twój jestem jedynie.  
 Zaprzestań, mammo, płakać i nie smuć się dłużej,  
 Bo gdy cierpisz i płaczesz, ja cierpię tak samo;  
 Słabnę, a ból ciężarem me powieki mruży,  
 Żegnaj! anioł mnie objął, żegnaj, biedna mammo!

*Tłum. Stanisław Budziński.*

*Uzupełnił Alfred Tom.*

## SÖREN KIERKEGAARD

(1813—1855)

### Z «TRWOGI I DRŻENIA»

#### Nastrój

Żył raz człowiek, który, dzieckiem będąc, słyszał ową piękną opowieść, jak to Bóg doświadczał Abrahama, jak ten wytrzymał próbę, zachował wiarę i po raz drugi wbrew oczekiwaniu dostał syna.

W późniejszym wieku czytał tę samą opowieść z większym jeszcze podziwem; życie bowiem rozłączyło to, co w pobożnej prostocie dziecka było jeszcze złączone. Im starszy się stawał, tem częściej myśli jego zatrzymywały się przy tej opowieści, entuzjazm jego rósł coraz bardziej i bardziej, a jednak zrozumienie jej stawało się dlań coraz trudniejsze i trudniejsze. Wkońcu zapomniał dla tej opowieści o wszystkim innem; dusza jego jedno tylko miała życzenie, aby ujrzeć Abrahama, jedną tylko żywiła tęsknotę: ach, gdybym też była świadkiem owego zdarzenia! Nie pragnął on piękności Wschodu ni wspaniałości ziemskiej Obiecanego Kraju, ni bogohojnej pary, której starość Bóg pobłogosławił, ni czcigodnej postaci podeszłego patriarchy, ni kwitnącej młodości użyzonego mu przez Boga Izaka — co do niego, mogła się cała ta historia rozegrać na pustym stepie. Jedyną jego tęsknotą było towarzyszyć Abrahamowi w owej trzydniowej podróży, którą odbywał, przed sobą mając troskę, koło siebie syna swego Izaka. Jego życzeniem było być obecnym w owej chwili, gdy Abraham wzniosł oczy i ujrzał wdali górę Moriah, w owej godzinie, gdy zostawił osły i sam na sam z Izakiem wstępował na górę. Tem bowiem, co go zajmowało, nie była kunsztowna tkanina fantazji, lecz groza myśli.

Ów człowiek nie był myślicielem; nie odczuwał potrzeby wyjścia poza wiarę; zdawało mu się, że najwspanialszą musi być rzeczą żyć jako ojciec wiary we wspomnieniu ludzi, że zazdrości godny jest los posiadania wiary, choćby nikt o tem nie wiedział. Ów człowiek nie był uczonym egzegetą, nie rozumiał po hebrajsku. Gdyby był rozumiał po hebrajsku, zrozumiałby może z łatwością opowieść ową i Abrahama.

#### I.

Bóg tedy doświadczał Abrahama i rzekł do niego: «Weź Izaka syna swego jedynego, którego kochasz, idź do kraju Moriah i ofiaruj go tam na całopalenie na górze, którą ci wskażę».

Był wczesny ranek. Abraham wstał dodnia; kazał osiodłać osły i opuścił chatę. Izak był z nim. Sara spoglądała za nimi z okna w dolinę, aż znikli jej z oczu. Trzy dni jechali, milcząc. Jeszcze czwartego dnia rano nie wyrzekł Abraham ni słowa, lecz wzniosł oczy i ujrzał woddali górę. Zostawił chłopców, a sam szedł pod górę, Izaka mając przy boku. I rzekł Abraham do siebie: «Przecież nie będę ukrywał przed Izakiem, dokąd prowadzi ta droga». Stał i położył rękę na głowie Izaka, błogosławiąc go, a Izak pochylał się, aby odebrać błogosławieństwo ojca. Miłość ojcowska przemawiała z twarzy Abrahama, wzrok jego był łagodny i słodki, słowa pełne powagi i upomnienia. Lecz Izak nie mógł go zrozumieć, dusza jego nie umiała się wzniesić. Objął kolana Abrahama, błagając u stóp jego. Prosił o młode swe życie, o cudne swe na-



dzieje. Wspominał radość w domu Abrahama; wspominał smutek i samotność. Wtedy Abraham podniósł chłopca i szedł z nim ręką w rękę. Słowa jego były pełne pociechy i upomnienia. Ale Izak nie mógł go zrozumieć. Wstąpili na górę Moriah, a Izak nie pojął go jeszcze. Wtedy odwrócił się Abraham na chwilę od niego — a gdy Izak ujrzał znowu oblicze ojcowskie, było zmienione. Wzrok jego był dziki, postać groźna. Pochwylił Izaka za pierś, rzucił nim o ziemię i rzekł: «Chłopcze głupi, czy sądzisz, że to jest rozkaz Boży? Nie, to moja przyjemność!» Wtedy Izak zadrżał i zawołał w trwodze: «Boże w niebiesiech, zlituj się nade mną! Boże Abrahama, zlituj się nade mną! Gdy nie mam ojca na ziemi, Ty mi bądź ojcem!» Abraham zaś rzekł cicho do siebie: «Panie niebios, dziękuję ci! wolę, aby uwierzył, że jestem nieładzki, niż gdyby miał utracić wiarę w Ciebie». —

Gdy się ma dziecko od piersi odłączyć, poczernia matka pierś swoją — byłoby przecież okrucieństwem zostawić pierś powab, gdy dziecko nie ma jej więcej dostać. A tak wierzy dziecko, że pierś się zmieniła, lecz matka — została ta sama; wzrok jej miłości pełen i pieszczoty, jak zwykle. Chwała matce, która straszniejszych nie potrzebuje środków, aby odłączyć dziecko od piersi.

## II.

Był wczesny ranek. Abraham wstał dodnia. Uściskał Sarę, oblubienicę starości swej, a Sara ucałowała Izaka, który uwolnił ją od wstydu — swoją dumę, swą nadzieję po wsze pokolenia.

Jechali, milcząc, wzdłuż drogi. Aż do czwartego dnia wzrok Abrahama utkwiony był w ziemię, wtedy wznosił oczy i ujrzał wdali górę Moriah. Znowu spuścił wzrok. Milcząc, ułożył barana, którego Bóg wybrał. Ofiarował go i wrócił do domu. — O d tego dnia zestarzał się Abraham; nie mógł zapomnieć, że Bóg żądał czegoś takiego odeń. Izak rósł jak przedtem. Abrahama wzrok pociemniał; nie widział więcej swej pociechy. —

Gdy dziecko dorosło i ma być odłączone, wtedy matka zakrywa jak dziewica pierś swoją — dziecko nie ma już matki. Chwała dziecku, które w inny sposób nie straciło matki.

## III.

Był ranek. Abraham wstał wczas, ucałował Sarę, młodą matkę, a Sara ucałowała Izaka, swoją rozkosz, swą radość po wsze czasy. I Abraham jechał drogą zamysłony. Myślał o Hagarze i synu jej, których niegdyś wypędził na pustynię. Wstąpił na górę; wyciągnął nóż.

Był cichy wieczór. Abraham wyjechał samotnie, dążył ku górze Moriah. Padł na twarz i prosił Boga, aby mu przebaczył grzech, że chciał ofiarować Izaka, że ojciec zapomniał o obowiązku wobec syna. Częściej jeździł samotną drogą, lecz nie miał spokoju. Nie mógł pojąć, jak może być grzechem, iż chciał ofiarować Bogu najlepsze, co posiadał, to, co po tysiąc razy wyżej cenił, niż własne życie. A jednak — jeżeli to było grzechem, jeżeli Izaka tak nie kochał, jak był powinien — to nie mógł pojąć, jak grzech może być darowany. Bo czyż istnieje straszniejszy grzech? —

Gdy dziecko ma być odłączone, smuci się i matka, że ma się rozłączyć z dzieckiem; że dziecko, które spoczywało najpierw pod sercem jej, a potem leżało przy jej piersi, teraz nie ma jej być już bliskie. I tak smucą się razem przez krótki czas żaloby. Chwała matce, która dziecko zachowała tak blisko i nie potrzebowała się troszczyć o więcej!

## IV.

Był wczesny ranek. W domu Abrahama przygotowano wszystko do podróży. Pożegnał się z Sarą. Eliezar, wierny sługa, towarzyszył mu kawał drogi, a potem powrócił. Jechali obok siebie, Abraham i Izak, aż przybyli na górę Moriah. Abraham przygotował wszystko do ofiary, spokojnie i łagodnie. Lecz, kiedy się odwrócił i wyciągnął nóż, widział Izak, jak lewica Abrahama ścisnęła się w rozpacz, a drżenie wstrząsnęło jego ciałem — lecz Abraham dobył noża.



Wtedy powrócili do domu, a Sara wybiegła im naprzeciw. Lecz Izak stracił wiarę. Nigdy nie mówiono o tem ni słowa. Izak do nikogo nie mówił o tem, co widział, a Abraham nie przeczuwał, że ktoś to widział. —

Gdy dziecko ma być odłączone, przygotowuje matka silniejszy pokarm, aby dziecko nie zginęło. Chwała temu, kto silniejszy przygotował pokarm!

W ten i w temu podobne sposoby rozmyślał o tem zdarzeniu ów człowiek, o którym mówimy. Ilekroć wracał z wędrowki do góry Moriah, upadał ze znużenia i składał ręce, mówiąc: «Nikt przecież nie był tak wielki, jak Abraham, któż go zrozumieć zdoła?»

*Tłum. M. Bienenstock.*

## GEORG BRANDES

(1842—1927)

### Z «WRAŻEŃ Z POLSKI»

...Rozmachem skrzydeł i siłą lotu orzeł góruje nad wszystkimi ptakami. Niedarmo jest on ich królem. Pod względem nieskalanej białości i szlachetnej godności ruchów żaden ptak nie może iść w zawody z łabędziem. Nie napróżno jest on symbolem szlachetnej czystości. Paw nie może ani bujać jak orzeł, ani jak łabędź pływać, lecz bogactwem i świetnością piór wyróżnia się wśród wszystkich innych ptaków.

Pomiędzy skrzydlatymi duchami Polski Mickiewicz jest orłem, Krasiński łabędziem, a Słowacki pawiem.

Wśród wszystkich utworów tych poetów jeden poemat od razu jednomyślnie uznany został przez znawców za największe arcydzieło poezji polskiej. Jest to jedyne dzieło, w którym jeden z trzech wielkich wieszczów usiłował dać różnostronny obraz narodowy ruchliwej epoki, której sam był świadkiem; — jedyne, w którym znajdujemy szeroki i bogaty opis przyrody polskiej; — jedyne, w którym poeta opisu zwyczajnych ludzi w ich życiu codziennym nie uważał za rzecz dla siebie zbyt bląhą; — jedyne wreszcie w swym zasadniczym tonie nastrojone nie na nutę lirycznej albo tragicznej egzaltacji, ale tego spokojnego humoru, z którego tak łatwo przejść do satyry, czułości, smutku i natchnienia.

Liczba poematów epickich trwałej wartości jest, jak wiadomo, bardzo szczupła. Ale niektóre z utworów tego rodzaju zdobyły sobie w literaturze powszechnej stanowisko tak wysokie, że stały się jakby drogowskazami, bibljami, stały się tworami literatury prawdziwie ludowej, w których pewien naród albo cały szereg znajduje swój obraz, całe swoje życie, przedstawione wiernie i w formie nieśmiertelnej. Do utworów tego rodzaju zaliczamy: patryjarchalne księgi Starego Testamentu, epepeje Homera, Firdusiego, Ramayanę, pieśń Nibelungów. Wszystkie one pochodzą z czasów bardzo odległych. A dzieje się tak dlatego, że we właściwym eposie zazwyczaj dany lud po raz pierwszy daje naiwny wyraz swej narodowej świadomości.

Jedyną udatną epepeję naszego wieku ma Polska w Panu Tadeuszu. Szczęśliwa gwiazda powstrzymała tym razem Mickiewicza od szukania tematu do tego epickiego utworu w zamierzchłej przeszłości. Autor «Pana Tadeusza» potrafił odnaleźć pierwiastek heroiczny w epece, w której sam żył...

...Mickiewicz jest wielkim epikiem już dlatego, że tak doskonale potrafił oddać w swym poemacie całą oryginalność zwyczajów swego kraju rodzinnego i całą wielkość i poezję epoki roku 1812-go. Poeta odważył się tu oprzeć całe epos na własnych spostrzeżeniach...

Dwojakie było źródło tej rzadkiej i drogocennej epickiej naiwności, której, prócz Adama, nie posiadał żaden z poetów ani w Polsce, ani gdzie indziej. Płynęła ona, po pierwsze, z osobliwego stosunku poety do obranego przezeń tematu i, po wtóre, ze szczególnych właściwości tego ostatniego.

Innym poetom zbywało na naiwności. Ale Mickiewicz patrzył na swój kraj rodzinny tylko oczyma dziecka i nigdy już nie miał go ujrzeć jako mąż dojrzały, i dla-



tego nic w pamięci jego nie mogło zatrzeć ani wyrugować owych obrazów z lat dzieciństwa... Ale okazało się jeszcze, że i sam przedmiot, obrany przez poetę, miał właśnie wszystkie właściwości starodawnych epickich tematów. Stosunki i życie na Litwie około roku 1812-go mają charakter cywilizowany, choć jest to cywilizacja *sui generis* i całkiem odmienna od jednostajnej cywilizacji reszty świata europejskiego...

Dziś pojąć prawie niepodobna, jak można było w roku 1840-ym przypisywać wrażenie, wywołane tym nieporównanym poematem, owym starym cechem, zaczerpniętym z przeszłości i przypominającym Waltera Scotta. Teraz trzeba być ślepym, aby nie widzieć, iż z trójcy wielkich poetów jeden tylko Mickiewicz stworzył dzieło popularne i nieśmiertelne przedewszystkiem dlatego, że w tym jedynym wypadku spróbował dać obraz rzeczywistości, zupełnie wolny od spirytyzmu i fantastyczności, historyczny obraz świata, nie przesłoniętego do połowy mgłą przeszłości, lecz takiego, na który, zanim zniknął, wieszcz sam spoglądał jasnymi i rozumnymi oczyma dziecka...

Opis gry Wojskiego daje nam dobre pojęcie o artyzmie samego Mickiewicza. Oto dość było pocie-tułaczowi przenieść się myślą w lata dzieciństwa, spojrzeć znowu okiem dziecka na owoczesne zdarzenia narodowe i życie najbliższego otoczenia, na tę krainę drogą, z jej spokojną i naiwną, ale zarazem jaskrawą kulturą, bez przemysłu, a z pełnem oryginalności rzemiosłem, bez państwa policyjnego, a z uświęconą tradycyjnie anarchją, i już w pieśni jego przemówiły puszcze litewskie, już ukazał nam wesole i dzikie w jej kniejach łowy, już ucho nasze słyszy głosy zwierząt, świergot ptactwa, ryk niedźwiedzia, beczenie żubra i cały chór głosów ludzkich. Zrazu cicha, jak szept liści, idzie ta pieśń jego pomiędzy buki i dęby, coraz potężniejsza, aż w końcu zda się, że w rogu jego grają setne rogi, że brzmia w nim głosy wszystkich dawno już zmarłych pokoleń narodu. — I rozlewają się one w poemacie falą coraz to szerszą, coraz to dźwięczniej płyną, jak najgłębsza tęsknica kraju. Słyszymy ją w obrazach miłości i cierpienia, nadziei i gniewu, dzikości i szaleństwa, żartu i natchnienia i narzeczcie zda się, że tą pieśnią i muzyką tą brzmi całe niebo polskie... Mickiewiczowi również dało echo jego pieśni życie nieśmiertelne w sercach rodaków.

Tłum. Zygmunt Poznański.

## JENS PEDER JACOBSEN

(1847—1885)

### ARABESKA

Czyś błdził kiedy w mrocznych lasach?  
Znasz ty Pana?  
Ja go przeczulem,  
Ale nie w mrocznych lasach,  
Gdy mówi wszelkie milczenie.  
Nie! Tego Pana nie znałem ja nigdy,  
Ale przeczulem miłości Pana —  
I wtedy milkło, co zazwyczaj mówi.

Na słonecznych łągach  
Rośnie dziwne ziele.  
Tylko w najgłębszej ciszy,  
Gdy słońce żarów tysiącami sieje,  
Rozchyła swe kwiecie.  
Jak obłąkane majączy się oko  
I jak ceglaste lico trupa:  
Widziałem je  
W miłości mojej.



Wonna mi była, jak jaśminu biel,  
 Makowe soki krążyły w jej krwi,  
 Jej ręce chłodne i jak marmur białe  
 Śniły na jej łonie,  
 Jak wodne lilje na jeziornej głębi.  
 Miętko padały jej słowa,  
 Jak jabłoni kwiecie  
 Na rośne pada trawy.  
 Ale bywały chwile,  
 Kiedy wzwyż były, jasne i zimne,  
 Jak tryskające wgórę wody.  
 Westchnienie drgało w jej śmiechu,  
 A radość w jej łkaniu:  
 Korzyć się przed nią musiało wszystko —  
 Tylko ocz dwoje śmiało się sprzeciwiać,  
 Jej własnych oczu dwoje.

Z trującej lilji  
 Lśniącego kielicha  
 Piła do mnie,  
 Do tego, co już nie żyje,  
 I tego, który teraz przed nią klęczy.  
 Piła do nas wszystkich  
 — A wtedy oczy korzyły się przed nią —  
 Czarę ślubowań niezmiennej stałości  
 Z trującej lilji  
 Lśniącego kielicha.

Wszystko minęło!  
 Na śnieżnej równinie  
 W ciemnym lesie  
 Samotnie rośnie cierniowy kierz,  
 Wśród jego liści targają się wichry.  
 Grono po gronie,  
 Grono po gronie  
 Strząsa jagody czerwone jak krew,  
 W biały je sieje śnieg —  
 Płonące jagody  
 W zimny śnieg. —

Znasz ty Pana?

*Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

#### Z «MOGENSA»

Lato było; w południe; na skrócie żywopłotu. Tuż przed nim rósł dąb-staruszek, o którego pniu można było jużci powiedzieć, że wije się w rozpaczy z powodu braku harmonji pomiędzy swem młodziutkiem żółtawem listowiem a czarną i grubą sękatością konarów, co podobne były najbardziej do grubo zarysowanych arabesek wczesnego gotyku. Za dębem rosła bujna leszczyna o ciemnych bez połysku liściach, tak gęstych, że nie można było przez nie dojrzeć ni pni, ni gałęzi. Ponad leszczynę wystrzelały dwa smukłe wesole klony z uciesznie wyzębionemi liśćmi, czerwonymi szypułkami i dyndającemi wisiorami zielonego owocu. Za klonami — las: zielona, równo zaokrąglona pochyłość, w której, swiergojąc, fruwały tu i tam ptaki, niby elfiki, kręcące się wokół darnionego kopca.

Wszystko to można było widzieć, idąc w tę stronę ścieżką poza żywopłotem. Jeżeli zaś leżało się w cieniu dębu, z grzbietem opartym o jego pień, i patrzyło w prze-



ciwnym kierunku — a był tam ktoś, co tak właśnie czynił — to najprzód widziało się swoje własne nogi, potem skrawek ziemi, porośnięty krótką twardą trawą, i wielką kępę ciemnych pokrzyw; dalej cierniaki i pnące się po nich białe powoje, ścieżkę, trochę pola żytniego, wreszcie na wzniesieniu żerdź z flagą radcy sprawiedliwości, a potem — niebo.

Upał był duszący; powietrze migotało z żaru, a przytem było tak cicho: omdlałe liście zwiśnięły, jakby uśpione na drzewach; nie się nie ruszało — jeno chrząszcze z tamtej strony na pokrzywach i ta trocha zwiędłego listowia, co leżało w trawie i zwijało się nagłemi drobnemi ruchy, jakby w kurczach pod palącemi promieniami słońca.

A jeszcze ten człowiek pod dębem: leżał i chwytal powietrze, i żałośnie, bezradnie spoglądał ku niebu. Zanucił trochę i przestał, zagwizdał i tego też poniechał, obrócił się i znów się obrócił, i utkwil wzrok w starem kretowisku, które wskutek suszy stało się jasno-szare. Nagle na jasno-szarej kretowinie pojawiła się mała, okrągła, ciemna plamka, potem druga, trzecia i wiele, wiele innych za nią, cały kopczyk był wnet ciemno-szary. Powietrze przesywały długie ciemne smugi, liście chyliły się i zginały; i nagle zaszumiło i zawrzało: lunał deszcz.

Wszystko lśniło się, iskrzyło, tryskało. Liście, gałęzie, pnie, wszystko połyskiwało z wilgoci. Każda kropla, spadająca na ziemię, na trawę czy na ścieżynkę przy płocie, rozpryskiwała się w tysiące pereł, miotanych hen dalej. Małe krople zawisały tam zdziebko i stawały się wielkimi kroplami, opadały tu na ziemię, zbierały się z innemi, rosły w strumyki, znikwały w małych brózdach, wpadały w duże wyboje, wypływały z małych, unosiły z sobą kurz, żdźbła i strzępki liści, osadzały je na twardym gruncie i znów porywały, wirowały z niemi i znowu na ziemi osadzały. Liście, które nie były obok siebie, odkąd wyszły z pączków, zetknęły się w wilgoci; mech, co kruszył się od skwaru, rozpęczniał i zmiękł, skędzierzawiał, zazieleniał i stał się soczysty, a szare porosty, zeschłe prawie na labakę, rozpościerały się niby delikatne koronki i, nabrzmiałe jak brokat, polśniewały nito jedwab. Powoje wypełniły aż po brzegi swoje białe kielichy, trącały się niemi wzajemnie i wylewały wodę na głowy pokrzyw. Grube czarne ślimaki leśne powypinały naprzód wesolo brzuchy i z wdzięcznością spoglądały ku niebu. A człowiek? Człowiek stał z gołą głową na deszczu i pozwalał kroplom spadać z szumem na włosy, brwi, oczy, nos, usta, przytknął raz i drugi w powietrze, podnosił niekiedy trochę to jedną, to drugą nogę, jakgdyby chciał zatańczyć, potrząsnął głową, gdy mu się za wiele wody zebrało we włosach, i zaśpiewał na całe gardło, nie wiedząc sam, co śpiewa, tak bardzo deszcz go zaprzętał:

Gdybym to ja, gdybym ja wnuczka miał, o tak!  
I pieniążków pełne skrzynie w każdy czas,  
Tobym przecie kiedyś też dziecię miał, o tak!  
Dom i dwór, i łączkę, i pole, i las.

Gdybym to ja, gdybym ja córuś miał, o tak!  
Dom i dwór, i łączkę, i pole, i las,  
Tobym przecie kiedyś też lubą miał, o tak!  
I pieniążków pełne skrzynie w każdy czas.

Nastał raz piękny dzień jesienny; opadanie liści trwało w całej pełni, a drogę, wiodącą wdół ku zatoce, zaściewały grubym kobiercem cytrynowożółte liście klonów i wiązów, a tu i owdzie widziałeś też plamy ciemniejszego listowia. Tak mile było iść po tym czystym tygrysim kobiercu i patrzeć, jak liście spadały nito śnieg, a brzoza wyglądała jeszcze wiotczej i delikatniej z gałązkami, ogołoconemi już prawie zupełnie, a jarzębina pyszniła się, pełna ciężkich jagód kraśnych. Niebo zaś było tak błękitne, tak błękitne, a las wydawał się o wiele większy; możnaby spojrzeć tak daleko w głąb pomiędzy pnie. A było w tem jeszcze i to, że rychło nic z tego nie zostanie. Las, pole, niebo, wolne powietrze i ta całość, wszystko wraz ustąpi miejsca porze lamp, kobierców



i hiacyntów. Dlatego to pan radca sprawiedliwości i jego córka z «Przyłądka Trafalgaru» schodzili nad zatokę, zostawiwszy powóz u wójta.

Pan radca był wielbicielem natury; jego zdaniem, natura była czemś zgoła osobliwym — natura była jedną z największych okras życia. Pan radca protegował naturę, bronił jej przed sztuczością; ogród, według niego, był jeno spaczeniem natury, a dopiero stylizowane w niej ogrody — to już była natura w dzikim oblędzie. W naturze niema stylu; dobry Bóg, w swej wszechmądrości, stworzył ją naturalną i tylko naturalną. Natura była czemś zgoła nieskażonym, nieskrępowanym; ale przez grzech pierworodny spadła na ludzkość cywilizacja; odtąd cywilizacja ta stała się koniecznością, lecz, ach! o ileż działałoby się lepiej, gdyby nią nie była; stan natury — to całkiem coś innego, o! całkiem innego. Pan radca nie miałby nic przeciw temu, żeby, chodząc odziany w baranią skórę, mógł żyć z upolowanych przez siebie zajęcy, bekasów, siewek, pardw, rogaczy i dzików. Tak, bez zaprzeczenia, stan natury był perłą, istną perłą.

Radca sprawiedliwości i jego córka zbliżali się do zatoki. Połsniewała ona już dawno między gałęziami, ale teraz, kiedy zboczyli na skrócie, gdzie rosła wielka topola, ukazała się im w całej pełni. Leżała przed nimi w wielkich taflach zwierciadlanej toni, z pozębionymi kresami szaroniebieskiej pomarszczonej wody, ze smugami gładkimi i smugami w zmarszczkach, a promienie słońca spoczywały na gładkiej powierzchni, migotały zaś na zmarszczonej. Przeciągnęła wzrok patrzących po swej płaszczyźnie, wiodła go wzdłuż brzegów zaokrąglonych łagodnie, po liniach zgnęta załamanych, pobujała nim mimo zielonych wysmyków ładu, potem wzrok porzuciła i utonęła w wielkich zakrętach, ale myśli wzięła z sobą. — Żeglować! Możliwe tu gdzie wynajść czółno?...

*Tłum. Stefan Frycz i Alfred Tom.*

## HOLGER DRACHMANN

(1846—1908)

### SPOKÓJ OPADAJĄCEGO LIŚCIA

Spokój. Spokój opadającego liścia.

Bo niema przecież wcale spokoju, gdy liść się rozwija.

Wtedy pąki rozsadza tęsknota, a serce smutek. Wtedy niepokój ludzki nie zna chwili ciszy ani za dnia, ani w nocy. Za dnia Duńczycy marzą — zdają się całe życie to robić — a w nocy marzą również, we śnie.

Słońce opala wszystko, a ptaki wszystko zamieniają w melodję. Między niebem a ziemią roi się cały wszechświat. I nadchodzi lato, życie zamienia się w jedną podróż koleją, świat staje się jednym miejscem kąpielowem.

Gdy brunatny październik nadszedł, umknąłem ze Skagen do Saby. Tu zastało mnie opadanie liści.

A opadanie liści w lesie w Saby jest jedyne w całym Starym Świecie. Jest tylko jedno podobne do niego w Nowym Świecie — nad rzeką Hudson w stanie Nowy Jork. Ale podróż w tamte strony jest daleka. I nie z tamtej ziemi wyrosłem, tam nie odczuwam słodczy przebywania w ojczyźnie i gorzko-słodkiej powagi wspomnień, która sprawia, że czuję się bogatym. Bo przecież bogaty jesteś tam, gdzie ojczyzna twoja; tylko na obcej ziemi można się czuć biednym.

Złoto, miedź, mosiądz, bronz-szkarłat, szmaragdowy aksamit, niebieskawo-fioletowy jedwab, jaskrawa żółtość, krwawa czerwień, to znów przejrzysty bursztyn — powoli miesza się to wszystko w zlewający się obraz niyb barwnej bibulki, powiewającej lekko nad rzeką, płynącą wolno, w której zwierciadło znowu spotykasz ten sam bursztyn, złoto, krew, purpurę i szmaragd, ale jaśniejsze, spokojniejsze, przytłumione, a jednak tak wyrazistej formy; i zdaje ci się, że słyszysz słodką muzykę, wołającą na cię ze świata nadprzyrodzonej piękności, wolnego od wszelkich więzów materji.

Co za bogactwo, co za przepych w lesie, jaki spokój nad głębokim strumieniem! Dziwnie przejmuje ta natura. Była ci znana, a przecież zdajesz się ją poznać dopiero.



Często bywałem tu na krótko w towarzystwie przyjaciół... a natura nie znosi przyjaciół. To też Sāby nadaje się przedewszystkiem dla tego, kto szuka samotności. Ucieka się tu, aby umknąć swojemu stuleciu. Tu niema żadnego wieku, a zwłaszcza ostatniego.

Brunatny październik może mieć dwa tysiące lat. Woda w strumieniu uśmiecha się swoim brązowym uśmiechem. Stare dęby na brzegu lasu poruszają koronami ruchem łagodnym, pobłażliwym.

Woda płynie ciągle. Stary dąb poprawia złotą koronę na swojej dostojnej głowie. Za kilka dni straci ją, ale następnej wiosny odzyska znowu.

Rok w rok ta sama historia. A to, co z dębem, dzieje się i ze starymi bukami, pochylonemi nad strumieniem. Cały las w brązowo-złoty spokoju umysłu pochyła się nad rzeką, która wolno, przesycona miękkimi barwami, niesie swą piękność w daleko oczekującemu jej morzu.

Taka cisza w spadającym liściu!

Czyż można sobie wyobrazić kogoś, przerywającego spokój obrazu? Byłbyś to chyba ty sam. Lecz natura nauczyła cię, że czekać, używać w spokoju — to rozkosz prawdziwa.

Oto jest stan, w którym masz chwile, kiedy używać możesz na obu światach: otaczającym, żywym, z liściem, pnem, koroną i gałązkami, których możesz dotknąć, i na tym na dole, w złotej wodzie, odwróconym, zwierciadlanym obrazie, który może zniszczyć kilka kropel deszczu, który lży chmur mogą rozwiać i który w chwilę później przemówi ci do duszy jak piękny sen. I zda ci się, że to dusza lasu — ten obraz w wodzie, płynącej niepostrzeżenie. — Doszedłszy do tego stanu, wstajesz przed słońcem, a w duszy twej brzmi modliwa oczekiwania.

Ostatniego dnia mego pobytu wyszło słońce zbyt jaskrawo z poza brudno-czerwonych obłoków. Nicco za gwałtowne, o zbyt magicznym blasku. Niepodobna było, aby przetrwało południe.

I nie przetrwało.

Ale nie uląkłem się. Chodziłem, siadałem, marząc, i znów chodziłem — wpatrując się, wdychając ten gorący przepych lasu — wchłaniając jego wilgotny, mocny i świeży zapach, działający jak wino. Słyszałem — widziałem — czułem wszystkiemi zmysłami. Odmłodziłem w tym brunatnym lesie, gdzie prauczucie przepychu i potęgi natury nadaje umysłowi siłę wieczną, niespożyta.

Wtem gałęzie zachwiały się od pierwszego podmuchu wiatru, który zdał się pochodzić z jakiegoś lochu zamkowego. Słońce mroźnym ruchem cofnęło się z pni i liści, roztopione złoto zwierciadła wody pokryło się jakby gęsią skórka... i spadł deszcz, a różnobarwne liście jęły się uginać — puściły się w tan, jakgdyby przyzwoite, w jedwabne szaty strojne driady nagle zamieniły się w rój dzikich czerwono-łosych dziewcząt, gnających daleko w pola i dzikie bezładne blonia.

Stałem pod potężnym drzewem, w obrębie starego czerwono-szarego pałacu, szkiełując. A deszcz siekł, a czerwono-łose dziewczęta szalały w tanecznym wirze. — Coby też mógł opowiedzieć ten stary pałac o czasach, w krew bogatych, w przeciwstawieniu do naszego, w krew ubogiego! O czasach, w których nie pisało się ksiązek, lecz się je przeżywało, kiedy umiano się cieszyć, jak dziecko... a umierało się z psalterzem na piersi... i kiedy w niebie spotkać się było można z pierwszą miłością...

Cytl cytl stary zuch... Oto słońce znowu świeci, przeglądając się w spokojnie płynącej wodzie, gdzie rozpogodzony świat śle w powietrzne regiony hymn, w którym, zda nam się, rozróżniamy słowa: Jak piękny jest spokój opadającego liścia!

*Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.*

#### PIEŚŃ FAL

Wiecznie dalej,  
Przez morze — hen,  
Aż do tych krańców,  
Co wciąż pierzchają,

Tam — do niksłych  
Baśniowych krajów,  
Gdzie słońce nigdy  
Nie zaszło.



Tam siedzi mąż na białym brzegu —  
 Co nie znał kłamu, żył bez maski,  
 Twarz ma promienną, oczu blaski  
 Nigdy przed nikim wdół nie biega.  
 Nie zwiódł nikogo, przestał na małym,  
 Dla siebie szczęścia on nie żądał,  
 Miękl wobec złości, głuchł na pochwałę,  
 Obca mu starość z jarzmem jej dni,  
 Piął się i naprzód wciąż spoglądał —  
 Czujemy w sobie krew z tej krwi.

Powiedz, rybaku  
 W pędzącem czólnie:  
 Jak nam się dostać  
 W tamtejsze strony?  
 Rybak ociera  
 Lica spienione:  
 Nie wiem, nie byłem  
 W tej dali!

*Tłum. Alfred Tom.*

## MARTIN ANDERSEN NEXØ

(ur. 1869)

### POJEDNANY

Był człowiek, którego życie już, już miało zgasnąć.

Miotał się po posłaniu, jęczał, ztorzeczył i zaciskał pięści, tak że paznogie wpijały się głęboko w wychudłe dłonie.

— Ileż to mam lat? Ile lat? — pytał co chwila tych, którzy otaczali jego łoże.

— Dwadzieścia — odpowiadano za każdym razem, i na myśl, że umiera tak młodo, dreszcz grozy wstrząsał nimi: udzieliło im się jego przerażenie.

Zaczęli więc mówić do niego łagodnie i czule. Ojciec, uosobienie zdrowia, chłop jak dąb, stał przy nim i prosił, by zniósł «to», jak mężczyzna. «Możebyś zechciał zamienić się ze mną?» — zapytał syn i śmiał się szyderczo, patrząc na pomieszanie rodzica. Matka zaś błagała, by zapomniał o marności ziemskiego żywota i podążył myślą do lepszego świata; niech z pokorą pochyli głowę i czyni dzięki Panu, iż okazał mu tę wielką łaskę i powołuje go do siebie w zaraniu życia. Wtedy porwał się na nią w przystępnie szalu, groził, machał bezsilnymi rękoma, głośny krzyk rwał się z jego ust, a rodzice klękli przy łóżku i modlili się. Jemu zaś piana wystąpiła na usta.

Stopniowo jednak uspokajał się, gdy oni wciąż odmawiali modlitwy. Leżał teraz cichy z zamkniętymi oczyma i uśmiechem na ustach, zdawał się nasłuchiwać. I czuł, że nagle siły jego zaczęły się zwiększać, rosnąć z szalonym, zawrotnym pośpiechem. Przyptyw mocy do ramion, do rąk... zerwane więzy koszuli... nowa potężna fala płynie ku piersiom, szyi... inna daje nogom taką moc, że ziemia zaczyna się uchylać, ustępować pod ich naporem. On zaś czuje, że rośnie, olbrzymieje nad wszelką miarę, cień jego mroczy widnokrąg, przemożna postać dotyka firmamentu pochyłonymi barkami. Nisko, u jego kolana, ziemia — rojne mrowisko życia. — Zaśmiał się głośno. Bo niech mu tylko przyjdzie ochota wyprostować zgięty grzbiet, a spęka się i runie owo niebo — ostatnia ucieczka ludzi; i nie będą wówczas mieli na pociechę nic, nic — tak jak on sam nic nie posiada!

A wtem oczy jego padły na ziemię — świadomość własnej mocy wybuchnęła w nim dziką, oszalałą radością. Chwilę jeszcze pał wzrok widowiskiem rojnego życia, potem ostrożnie wyciągnął ręce, zbliżał je ku sobie, aż objął dłońmi ziemię z takim głośnym klaśnięciem, że oboje rodzice porwali się przerażeni z klęczek. On zaś coraz mocniej zaciskał dłonie, splótł palce i zaciskał, zaciskał... Niespokojna, pełna ruchu ziemia martwiała w jego uścisku, poddawała się, kruszyła, a wszelkie życie, wszelki zarodek życia obumierał pod jego mocarnymi palcami. Aż i w nim pękło coś, zalał się; zapadał w otchłań, ginał i zgasł z uśmiechem na ustach — radosny, iż wszystko zabrał z sobą, odchodząc.

Rodzice pochylili się nad umarłym. «Jeszcze uśmiecha się — rzekła z płaczem matka — odszedł w weselu do Boga». I troskiwie układała ciało.

«Patrz, patrz! tak mocno splótł dłonie w pogodnej modlitwie, że ich rozłożyć nie można!» — powiedziała do męża, a uśmiech radosny wybiegł jej na usta.

*Tłum. M. M.*



## Z «PASAŻERÓW MIEJSC PUSTYCH»

## Prolog

Czy dlatego nasz wiek nazywa się wiekiem żelaza, że większość z nas przychodzi na świat z kajdanami na nogach? Ja sam należałem do tych niewinnie wzgardzonych, którzy, ledwie poczawszy pełzać, od razu stają się ogniwoami nieskończonego łańcucha niewolników życia, których los przeklęty polega na tem, aby ze wszech sił uprzyjemniać ziemskie istnienie nielicznym wybrańcom życia. Od czasu do czasu — to tu, to tam — kóregoś z nas zwalniano, odsyłając w krainę wieczności — bez wielkich wydatków i ceremonij; poczem nasze szeregi znowu zwiierały się automatycznie. My zaś wlekleśmy brzemień dalej, nisko schyleni ku ziemi; nasze wygłodniałe dusze napępniały powietrze swym krzykiem; niby stada zbłąkanych ptaków, krążyły one bezustanku w górze, poszukując ustronia. Było ich tak wiele, że zamraczały niebo i rzucały cień nawet tam, gdzie było najjaśniejsze.

Nastał dzień, kiedy i mnie, wskutek choroby i niezdatności do pracy, również dano wolność: ciśnięto mnie dla śmierci w otwartem polu. Lekarza do mnie nie zawezwano, aczkolwiek chciałem jeszcze pożyć trochę na świecie; ale zato ksiądz krążył koło mnie niepokojąco blisko. Czekał na chwilę, kiedy wyzionę ducha, i można będzie odmówić modlitwę. Na jego usprawiedliwienie muszę zresztą powiedzieć, że trudnił on się tem rzemiosłem z polecenia państwa.

Ale tym razem zdołoby wysłiznąć mu się z rąk: pewna dobrotliwa niewiasta zaopiekowała się mną i zaprowadziła mnie do lekarza. «Gruźlica!» — oświadczył. — «A poza tem ogólne wyczerpanie, przepracowanie, niedożywianie od urodzenia. Jak długo już pracujecie?» — «Dwadzieścia lat». — «A ileż macie lat?» — «Dwadzieścia cztery». — «No, w takim razie odbyliście już termin swej pracy». — «Czy niczem mu już nie można pomóc?» — spytała miłosierna niewiasta. — «Zima na południu zdoła go może uratować. W przeciwnym razie zdechnie».

Słowo «zdechnie» dotknęło mnie boleśnie — właściwie zupełnie niepotrzebnie. Poco czepiać się słów, kiedy sens ich wszakże pozostaje ten sam? A pod tym względem nie było najmniejszych wątpliwości. Przecież w społeczeństwie dzisiejszem niema takiej instancji, do której mógłby się odwołać niewinnie skazany na śmierć z prośbą o zmitowanie. Policja opiekuje się naderwanymi i męczonemi końmi, ale ginący z wyczerpania robotnik może wzywać tylko nieba. Przeto, nie myśląc wiele, pogodziłem się z koniecznością napelnienia swych zgnitych płuc szczęśliwością wiekuistą.

Lecz oto pewnego pięknego poranku znalazła się w mej kieszeni niespodzianie ogromna suma pieniędzy — kilkaset koron, któremi zaopatrzyła mnie wspomniana miłosierna niewiasta; postanowiłem wyruszyć do Włoch. Niepodobna opisać mego nastroju; przecieżyłem wysłiznął się z uścisku śmierci i, co jeszcze ważniejsze, wyrwałem się z jarzma niewoli! Jak wróbelek, który cudownym sposobem wydarł się z pazurów kota, pomknąłem w świat napół nieżywy, ale z radością i nadzieją w sercu.

Przez kilka dni musiałem jednak zatrzymać się w Kopenhadze, aby doprowadzić do porządku sprawy, niecierpiące zwłoki. Zamieszkałem tedy w mansardzie pewnego domu przy ulicy Nørrebro. Sąsiadką moją była mała, wyschła starowinka, niewiadomo jak i z czego żyjąca na świecie. Nie miała ani krewnych, ani przyjaciół, sama zaś zbyt była stara i zmęczona życiem, aby móc zająć się jakąś pracą. Mieszkała w zupełnej samotności i miała opinię kobiety niespełna rozumu. Nie wiem, czy czułem wtedy potrzebę ludzi, czy może moja szczęśliwa twarz znęciła ku mnie staruszkę, dość, że wdala się ze mną w rozmowę i opowiedziała mi swą smutną historję.

Jako zupełnie jeszcze młoda dziewczyna, lekko i ubogo odziana, ale pełna gorącej krwi i niewyczerpanej energii, przybyła z Jutlandji do stolicy, aby stanąć w niezliczonym szeregu skromnych istot, nie wymagających od życia niczego, prócz jako żonośnej egzystencji. Wkrótce też zesłała się z pewnym człowiekiem ze swej sfery — robotnikiem, pragnącym, jak i ona, wyjść na szerszą drogę. Z tem wspólnem im obojgu dążeniem, zamiast wiana, zawarli ślub i poczeli wydawać na świat potomstwo; zaledwie matka odjęła od piersi jedno dziecko, już drugie oczekiwało swej kolei. Tak mijał czas, we dnie trzeba było troszczyć się o chmarę dzieci, a w nocy, kiedy wszystko spało,



musiała doprowadzać do porządku ich odzież, aby zrana miała wygląd przyzwoity. Nigdy nie było ani minuty, by zająć się czem innym. Potem dzieci zaczęły umierać, jedne bardzo weześnie, a inne dopiero wtedy, gdy podrosły i mogłyby też pomagać rodzicom. Raz w czasie roboty mąż doznał poważnych okaleczeń, tak że odtąd przez kilka lat zrzędu chorował. W ten sposób przemęczyli się oboje aż prawie do srebrnego wesela, przed którym zmarło się jej staremu. Kiedy go pochowano, wdowa Jensen (było to jej nazwisko) pomyślała, że teraz będzie mogła wreszcie odpocząć, ale oto zauważyła, że stała się starą samotną kobietą, i zaczęła tęsknić do kraju swej młodości. Poczęła zbierać pieniądze na drogę, ale w żaden sposób nie mogła złożyć koniecznej kwoty. Za każdym razem, gdy już myślała, że ma dość, przychodziła konieczność płacenia komornego albo zjawiał się jakiś inny wydatek, który pochłaniał wszystkie oszczędności. Pragnienie ujżenia miejsc rodzinnych doszło u niej dwukrotnie do tak ostrej fazy, że sprowadziło ją na stację kolejową; ale za pierwszym razem zatrzymał ją kontroler przed odejściem pociągu, a za drugim dojechała aż do Korsör, gdzie ją wysadzono z pociągu i skierowano zpowrotem. «O mało że nie dostałam się wtedy pod sąd, chociaż nie zabrałam w wagonie niczyjego miejsca», powiedziała staruszka; drżała na samo wspomnienie o tem zajściu.

A potem wyrzekła się swego marzenia. «Teraz wszystko, czego pragnę, to móc złożyć swą zmęczoną głowę tam, gdzie nie będą już nad nią turkotać koła wozów. O, jak pięknieby to było, gdyby ciało moje przewieziono przez morze i pochowano na cmentarzu ojczyzym! Jak myślisz, czy kosztowałoby to strasznie drogo?» Obrzuciła wzrokiem swą ubogą norę, jakby obliczając, czy starczyłoby jej mienia na pokrycie takiego wydatku. Tam, w kraju rodzinnym, umarłych chowają na wysokiem zboczach nadbrzeżnem, skąd otwiera się widok na sław wioskowy; po tych miejscach biegła ona w owym czasie, gdy jeszcze pasala stado — i tam też bardzo pragnęła być pochowana.

Spotkanie się z tą starą kobietą otworzyło mi oczy na świat, w którym żyłem, na to wszystko, dzięki czemu tak ciężko cierpiałem, nie zdając sobie z tego sprawy — na okrutną niesprawiedliwość bytu. Było już tak dlatego, że inaczej być nie mogło; ale jeśli na ziemi nic zmienić nie można, to pocóż myśleć o tem? Bez tego fatalizmu życie stałoby się dla biedaków ciężarem nie do zniesienia: albo musieliby kończyć samobójstwem, albo wszystko zniszczyć z kratesem. Teraz jednak zrozumiałem coś nowego — może z powodu, że stałem obecnie po drugiej, pozytywnej, stronie życia i mogłem robić porównania. Mogło być inaczej, a w każdym razie w stosunku do staruszki — ujrzałem puste miejsca!

Jeszcze bardziej otworzyły mi się oczy podczas mej podróży na południe — do Włoch. Nasz pociąg pośpieszny zatrzymał się nagle koło jakiegoś małego miasteczka w górach, i wyszliśmy z wagonu nieco rozruszać nogi. Według rozkładu jazdy, nie było tu przystanku, to też zastanawialiśmy się nad tem, co też mogło się wydarzyć. Czekaliśmy już z pół godziny, gdy naraz koło stacji przemknął ekspres; jak we mgle, widzieliśmy trzy wagony sypialne ze spuszczoneimi frankami i tak zwany błyskawiczny parowóz. Nie zauważyliśmy ani jednej żywej istoty w tym potworze, który, hucząc i trzęsąc się, wpadł z djabelskiem wyciem do tunelu i zniknął w jego czarnej paszczy. Jak się okazało, jakiś milioner berliński, udając się do Egiptu, zamówił na swój przejazd całą linię kolejową aż do Brindisi; oprócz niego byli tylko jego lokaj i kucharz.

Dopiero po tej przerwie my — kilkuset pasażerów — mogliśmy pojechać dalej: droga była wolna. To nieduże, ale interesujące zdarzenie dało nam obfity materiał do rozmów: za dawnych czasów na podróżników napadali zbójcy, dziś odbywają się napady na inną modłę. Ten i ów był niezadowolony z tego, że osoba prywatna miała możność wstrzymania ruchu na jednej z głównych linii europejskich — tylko po to, by mogła sama przejechać; nie doszło jednak do jakiegoś szczerzego oburzenia. Pieniądze okazały swą wszechmoc, i wszyscy przed niemi kornie schylili głowy. — Dla mnie ten pociąg, wiozący z hałasem przez Europę zblazowanego milionera, człowieka, który nie zwracał nawet uwagi na wspaniały krajobraz i podróżował jedynie dlatego, że miał pieniądze, dla mnie więc pociąg ten posiadał specjalne znaczenie. Pomyślałem o sobie samym i o tem, z jakim trudem wyrwałem się ze swego kieratu; od siebie zaś przeniosłem się myślą ku tym wszystkim, którzy ginęli tam w domu z braku to tego, to



owego — z braku wszystkiego. Iluż wzgardzonych, iluż bezmyślnie zgnębionych było wśród tych, których znałem! A iluż takich jeszcze jest — na całej ziemi!

Dawniej już odkryłem miejsca puste; teraz zaś ożyły one przed memi oczyma. Ujrzałem tych wszystkich, którzy na nich nie siedzieli: — p a s a ż e r ó w m i e j s c p u s t y c h.

Odtąd chadzali oni za mną z tą wiernością, jaka cechuje biedaków. Otaczali mnie we dnie, a w nocy ożywiali moje sny.

Powiadają, że są ludzie jasnowidzący: mnie się wydaje, że każda istota ludzka przebywa pośród istot niewidzialnych, a dopiero chodzi o to, by je ujrzeć. Jest to pewien dar, lecz niezawsze bywa on dobrodziejstwem. Nawet w śpiewie Orfeusza można było dosłyszeć to, że grał on i śpiewał przed cieniami świata podziemnego — i że tam serce swe pozostawił.

Biada temu, dla czyich oczu otwarły się miejsca puste — serce jego nigdy już nie zazna spokoju. Dręczy się i choruje, bo wszędzie je zobaczy: toć świat jest usiany miejscami pustymi. Ziemia wydaje mu się pociągami, który prowadzi szatan; z piekielną szybkością pędzi on tam, dokąd wyrwa się tęsknota ludzka — ale z miejscami pustymi. I swawolnie djabeł wykrzykuje nazwy stacyj, ponad ziejącymi miejscami — miejscami dla nieuchronnie opuszczonych!

*Przekład bezimienny w «Opowieściach pis. skandynaw.»  
Poprawił Alfred Tom.*

## JOHANNES V. JENSEN

(ur. 1873)

### FUDŻIJAMA

Najszczęśliwsze przeżycie, jakie miałem kiedykolwiek, przypadło mi w udziale na morzu przed Japonją; odtąd nie utkwilo mi w pamięci żadne istotne wydarzenie. — Obudziłem się weczesnym rankiem przed wschodem słońca, ponieważ wiatr zawiewał do mej kajuty i we śnie tak byłem pełen radości, że nie mogłem leżeć dłużej; a kiedy wyrzuciłem przez otwarty iluminator, jakiś wysoki, wspaniały obłok stał właśnie przed memi oczyma... lecz nie był to obłok, to była — Fudżijama.

Cudowna ta góra wznosiła się z pośród wszechświata i, rzekłbyś, nie stała wcale na ziemi, była bowiem tak bardzo oddalona, że podnóże jej spływało się z mgłą błękitną, z której się składa niebo ponad Japonją. Nad niebem zaś biały stożek śnieżny przedzierał się skroś powietrze tak lekko, tak zwiewnie, że w jednej chwili pojąłem zarówno niezmierną masę i ciężar ziemi, jak i nieważki jej lot w przestworze.

Takie miałem wrażenie, jakby ziemia zjawiła się przede mną w swej świeżości kosmicznej, jako młoda planeta, wywijająca się z ciemności, ukoronowana zorzą północną, ze swą cudną sferą lazurową i wielobarwnymi mchami stałego ładu w świetle słonecznym.

To, co wtedy odczułem, było tem samym pierwotnym doświadczeniem, jakiego, dzieckiem będąc, nabywamy na widok pierwszego lepszego przedmiotu, zdźbła słomy czy kropli na szybie. Później, kiedy wdrożone pojęcia uczyniły z dzieciństwa kraj utracony, budząc wiarę w rzeczywistość inną, szlachetniejszą niż ta, którą widzimy — potrzeba nam oddalenia i obcości, wzniesłego zaskoczenia, aby przywrócić ziemi jej świeżość.

Gdy ujrzałem Fudżijamę, przepadł ostatni ślad mej wiary w był inny, niż ten obecny. Zrozumiałem, że wyższym światem, do którego dążymy, nie może być żaden inny poza tym, który jest, że wszelako nigdy nie dosiegamy go w chwili decydującej, że w stosunku do niego codzień okazujemy się ślepcami. Niema myśli bardziej, niż ta, owocnej. Jest to właściwie jedyna myśl, którą człowiek przeżyć zdola.

Dlatego też Fudżijama jest górą świętą, przedmiotem kultu dla całego narodu.

Kolumbie! Jedna jest tylko radość trwała: móc ujrzeć znowu tę błogostawioną ziemię!

*Tłum. Alfred Tom.*